ŚWIATOWID

31 SIERPNIA 1935 R
NUMER ZAWIERA
24 STRON DRUKU
CENA 60 GR
W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2·20

Nr. 35

LONDYN W PODNIECENIU.



Tłumy ludzi, gromadzące się przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza w Londynie, w chwili gdy rząd obraduje nad konfliktem abisyńsko-włoskim. Bliższe szczegóły na stronie 8—9.

WIZYTA KRĄŻOWNIKA NIEMIECKIEGO W GDYNI.

Do Gdyni przybył krążownik niemiecki „Königsberg“, rewizytując reprezentację polskiej marynarki wojennej, która bawiła w Kilonji. Po zwiedzeniu Gdyni oficerowie z „Königsbergu“ udali się samolotami do Warszawy, gdzie zostali przyjęci przez kierownika min. spraw wojskowych gen. Kasprzyckiego (na zdjęciu). Siedzą od prawej w gabinecie ministra spraw wojskowych: gen. Schindler, gen. Kasprzycki, komandor Schmundt, kpt. Hinzel i komandor Podrębski. *Ag. fot. „Światowid“*



Pancernik niemiecki „Königsberg“ w porcie gdyńskim.

BUDOWA KOLEJKI LINOWEJ W TATRACH ROZPOCZĘTA.



Budowa kolejki na Kasprowy Wierch w Tatrach, która została zadecydowana przed jakimś czasem, wkracza obecnie w stadjum pełnej realizacji. W tym celu wytycza się trasę z Kuźnic, gdzie będzie znajdować się stacja początkowa, poprzez Dolinę Kasprową w stronę szczytu. Z dna Doliny Kasprowej kolejka podniesie się łagodnie w górę. Zdjęcie nasze, ujęte z Hali Kondrackiej przedstawia na dalszym planie po stronie prawej Dolinę Kasprową, którędy pobiegnie szlak pierwszej kolejki linowej w Polsce. *Fot. Wint*



Stadjon pływacki w Andrychowie, na którym odbyły się zawody pływackie Polska—Węgry.

PŁYWACCY MISTRZOWIE ŚWIATA W POLSCE.

Znów mamy gorąco, znów słońce i upały, nic dziwnego, że uderzyło to pływakom do głowy i zaćmiło ich. Odważyli się na podwójne ryzyko, na rzecz niesłychaną: sprowadzili do Polski akademicką mistrzowską drużynę świata BEAC z Budapesztu.

Dlaczego ryzyko i dlaczego podwójne? Primo — ponieważ można było zgóry przewidzieć, że dostaną porządnie w skórę od tych mistrzów, powtóre ponieważ wszelkie imprezy wodne w Polsce nie rentują się jakoś, a ci Węgrzy mieli kosztować ładną porcję złotych.

Odważnym los sprzyja. Ani jedna ani druga groźba się nie spełniła. Zarówno wyniki naszych pływaków w spotkaniach z słynnymi Węgrami, jak i efekt finansowy zadowoliły w pełni. W Rabce, w Andrychowie, w Krakowie i w Katowicach, wszędzie, gdzie dotychczas startowali nasi mili goście, zjawiły się tłumy publiczności, wszędzie ludziska ciekawi byli zobaczyć jak wygląda człowiek-ryba, najszybszy pływak Europy, Csik. Ten młody chłopak węgierski jest też naprawdę fenomenem pływackim, który dużo zapewne nauczy naszych zawodników. Już sam fakt, że po raz pierwszy w Polscewidzieliśmy pływaka, który „zrobił" na setkę czas poniżej minuty, będzie dużym bodźcem do pracy nad sobą do dalszego treningu i dalszych wysiłków.

Zdawałoby się: cóż to za cuda przepłynąć sto metrów poniżej jednej minuty? Spróbujcie mili państwo sami a zobaczycie. Każda dziesiąta sekundy urwana poniżej jednej minuty, to długie miesiące cierpliwej zaprawy, to narazie dla naszych pływaków wogóle niedościgłe — marzenie. Jeszcze nigdy i żaden z nich nie przekroczył tej legendarnej granicy jaką stanowi właśnie jedna minuta.

Csik Csikiem, ale nie on jeden wart był zobaczenia w sympatycznej drużynie gości węgierskich. Drugi taki rekordowy okaz to Lengyel — co znaczy zresztą po węgiersku... Polak — mistrz Węgier na 1500 m. A potem dalsze nazwiska Szekely, Langwary, Zabrak, słynny waterpolista Vertessy i zwłaszcza skoczek Vajda. Popisywał się on osobno poza konkursem w skokach humorystycznych, które wywoływały burze śmiechu. Wystarczy jeśli wymienimy tylko „tytuły" tych skoków: skok samobójcy, skok baletnicy, skok elastyczny itd.

A teraz to co dla nas najważniejsze: wyniki, uzyskane przez naszych pływaków były naogół bardzo dobre, dwa rekordy Polski i kilka nowych rekordów okręgowych — oto plon. I jeszcze jedno — wynik 2:2, uzyskany w Krakowie przez polską drużynę piłki wodnej w spotkaniu z tymi mistrzami świata.

Polskie zawodniczki: od lewej Nemetchke, Koliszerówna i Dawidowiczówna (mistrzyni w 100-metrówce stylem dowolnym).



Mistrz Europy Csik, płynący stylem motylkowym.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID".

ZGON WYBITNEGO PRZEMYSŁOWCA.



W ubiegłym tygodniu zmarł we Wiedniu wybitny pionier przemysłu polskiego ś. p. Ferdynand Adolf Pal, założyciel i współwłaściciel fabryki przetw. chem. „Dobrolin“ F. A. i G. Pal w Warszawie. Zmarły był m. in. członkiem Kolegjum Zboru Ewang.-Augsb., prezesem Koła L. O. P. P., prezesem Związku Fabryk Techn.-Chem. w Polsce i w. i.

Ś. p. F. A. Pal zmarł w sile wieku, pozostawiając niezastąpioną lukę w szeregach najtęższych organizatorów przemysłu polskiego.

RATOWANIE TONĄCEJ.



W czasie upałów letnich na porządku dziennym są wypadki utonięcia, gdyż osoby kąpiące się udają się często na miejsca głębokie, nie mając pojęcia o pływaniu, albo zbytnio ufając w swoje siły. Taki wypadek przytrafił się właśnie przed kilku dniami w Krakowie obok mostu dębnickiego, gdzie młoda dziewczyna porwana wirem zaczęła tonąć. Na szczęście kilku młodzieńców pospieszyło jej na ratunek i uratowało. Moment ten przedstawia nasze zdjęcie. *Fot. J. L.*

SZUM ŚMIG NAD AMERYKĄ.

Stany Zjednoczone A. P. przystąpiły do budowy nowych baz lotniczych na Alasce, na południowo-zachodniem wybrzeżu Atlantyku, w rejonie Antylów i w okolicy gór Skalistych. Ta ostatnia służyć będzie jako główny ośrodek manewrów lotniczych transkontynentalnych. Na ten cel prez. Roosevelt polecił wyasygnować 125 miljonów dolarów. W dziedzinie konstrukcji nowych samolotów wojennych chlubą Stanów Zjednoczonych jest nowy aparat bombowy o wadze 15 tonn, rozwijający szybkość 400 km. na godzinę i zabierający na swój pokład rekordową ilość bomb najcięższego kalibru. Aparaty tego typu zostały już wcielone do armji amerykańskiej, która rozumiejąc znaczenie lotnictwa w przyszłej wojnie, gorączkowo rozbudowuje swoje siły powietrzne. Na zdjęciu eskadra bojowych samolotów amerykańskich w locie ćwiczebnym.

Fot. Presse Photo, Berlin.

KRAKÓW DLA ROBOTNIKÓW.



W ubiegły piątek odbyło się w Krakowie na Dębnikach poświęcenie domków osiedla robotniczego (na zdjęciu), w którym wzięli udział przedstawiciele władz z prez. m. dr. Kaplickim, wiceprez. drem Radzyńskim i dyrektorem Funduszu Pracy p. Czarnieckim na czele. Wybudowano dotąd pięć bloków domów, przy usilnej pomocy magistratu m. Krakowa, który na ten cel odstąpił w Dębnikach przy ul. Czarodziejskiej grunta o powierzchni 39.354 m^2. W blokach znajduje się 114 mieszkań, z których każde składa się z pokoju, kuchni, nyży i łazienki. Mieszkania te kosztować będą około 20 zł miesięcznie. Tak więc Kraków jako pierwsze miasto polskie stworzył wzorowe osiedle robotnicze.

WYSTAWA BUDOWLANO-MIESZKANIOWA B. G. K. NA KOLE W WARSZAWIE

Fragment stoiska Pocztowej Kasy Oszczędności.



Ciesząca się wielkiem zainteresowaniem społeczeństwa Wystawa Budowlano-Mieszkaniowa Banku Gospodarstwa Krajowego na Kole w Warszawie jest widomym znakiem rozwoju życia gospodarczego i wartości materjalnych w gospodarce narodowej. Wystawa zorganizowana z rozmachem, przy współudziale najpoważniejszych instytucyj i przedsiębiorstw przemysłowych jest obecnie w stolicy naszej najciekawszą i największą imprezą.



Niezwykle miłe wrażenie robi główna ulica na Wystawie.



Pawilon Towarzystwa Starochowickich Zakładów Górniczych jest najbardziej pomysłowo i nowocześnie urządzony. — Wystawiono w nim kilkanaście modeli drzwi płytowych i okien różnych systemów, oraz szereg nowości z zakresu stolarszczyzny budowlanej. Godnym obejrzenia jest kocioł do centralnego ogrzewania systemu „Reck"; pomysłowa konstrukcja pozwala na zastosowanie jako paliwa nietylko koksu, jecz również węgla lub drzewa.

JAPONJA SIĘGA PO MONGOLJĘ.



Wszystko wskazuje na to, że Japonja, połknąwszy Mandżurję, przygotowuje się obecnie powoli do aneksji Mongolji, na której olbrzymich obszarach panuje zupełna anarchja. Przeciągające tam bandy Mongołów, Kałmuków i innych ludów żyją wyłącznie z rabunków, napadając na miasta i osady. Szczególnie silnem echem odbił się najazd tych band na Naiwan, gdzie zostali wówczas dwaj urzędnicy japońscy zabici, a czterej wzięci do niewoli. Władze japońskie wysłały wówczas do Naiwanu samoloty bombowe, które sprawiły straszliwą masakrę wśród uciekających Mongołów. Równocześnie zaś wojska japońskie przekroczyły granicę mongolską, posuwając się w kierunku na zachód. Nie ulega wątpliwości, że Japończycy, usadowiwszy się raz w Mongolji, nigdy już tego kraju nie opuszczą, gdyż celem ich polityki jest ustawiczne powiększanie imperjum „Wschodzącego Słońca" i skupianie sił do ostatecznej rozprawy ze skłóconą rasą białą.

Na zdjęciu typowy bandyta mongolski, z band włóczących się od miejsca do miejsca.

Fot. „The New York Times", Berlin.

KOLIBRY.



Do najpiękniejszych, a równocześnie do najmniejszych ptaków krajów egzotycznych należą kolibry. Najciekawsze ich okazy spotyka się w Ameryce południowej, gdzie żyją masami, żywiąc się nektarem kwiatów. Polatując w słońcu, połyskując wszystkiemi barwami tęczy, robią wrażenie żywych klejnotów. Mikroskopijne te ptaszki odznaczają się wielką czupurnością i nie robią sobie nic nawet z wielkich drapieżników. Kolibr, zoczywszy drapieżnego ptaka, z błyskawiczną szybkością napada na niego, kierując uderzenia swojego twardego dzióbka w stronę oka przeciwnika. Zazwyczaj duży, ciężki ptak ucieka przed kolibrem jak zmyty, bojąc się, że zostanie oślepiony.

Na zdjęciu kolibr z pisklętami, siedzący na łyżce. Zaznaczyć należy, że hodowanie kolibrów jest niesłychanie trudne i udaje się tylko specjalistom, z których najlepsi znajdują się w berlińskim ogrodzie zoologicznym.

Fot. Dellus, Paris.

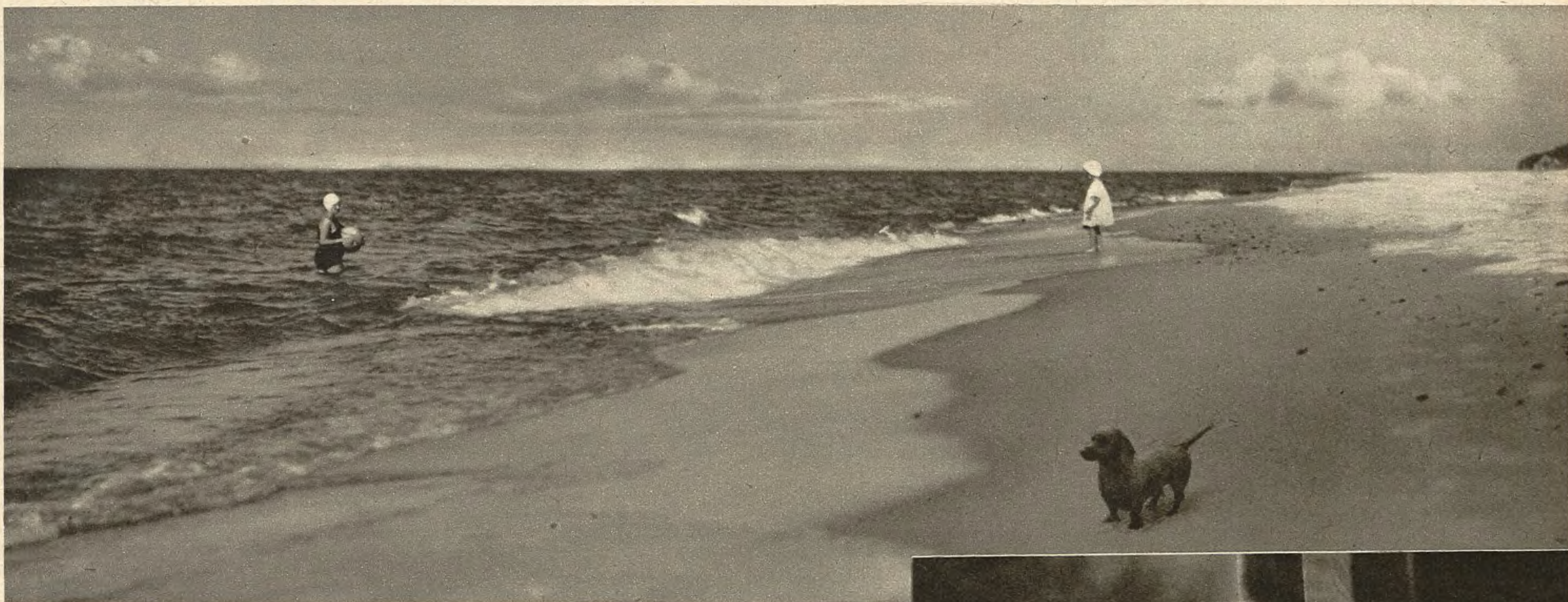
NUDYZM BANKRUTUJE.



W okresie powojennym w Niemczech i Francji zaczął się szerzyć nudyzm najrozmaitszych odcieni, którego zwolennicy uważali, że wstyd jest przesądem dawnych wieków, a chodzenie bez ubrania wpływa bardzo dodatnio na zdrowie i... moralność. Najgłębiej nudyzm zapuścił korzenie w Niemczech, gdzie w czasach przedhitlerowskich rozpasanie doszło do zenitu. Hitler jednak, propagując etykę heroizmu, wziął się jak najenergiczniej do tępienia nudyzmu, tak, że obecnie wegetuje on tylko we Francji. Największym ośrodkiem francuskich nudystów, czyli t. zw. naturystów jest miejscowość Hyéres nad morzem Śródziemnem. Na zdjęciu orszak weselny nudystów. Na czele kroczy para młoda. Frak symbolizowany jest przez pływki. Panie występują w kostjumach kąpielowych.

Fot. Photos NYT.

OBÓZ MEDYKÓW W HALLEROWIE.





Ostatni uśmiech z wagonu...

Po mozolnej pracy „wkuwania" do egzaminów, jakże wzdycha brać studencka do wolności i swobody na łonie natury. Każdy pragnąłby spędzić wakacje w słońcu bądź to na piaskach nadmorskich, lub też pod zboczem majestatycznych Tatr.

Ale jakże tu urządzić się tanio, dobrze i mile? Dopiero w ostatnich latach sprawę tę rozwiązała sama młodzież akademicka, organizując nader umiejętnie obozy letnie. W tym roku rozbito setki namiotów nad brzegiem Bałtyku. A więc: Akademicki Związek Morski w Jastarni, mający na celu żeglarskie przysposobienie młodzieży. Pod Jastrzębią Górą rozlegały się wesołe głosy młodzieży w Tupadłach, gdzie osiedlili się studenci uniwersytetu poznańskiego. Na cyplu Helu pobudowała Liga Morska i Kolonjalna całe miasteczko liliputich drewnianych domeczków i dwuosobowych namiotów. Dalej nieprzerwanym sznurem ciągnęły się obozy Zw. Strzeleckiego, T. N. S. W. i innych organizacyj.

Najweselej jednak było w obozie Koła Medyków, mieszczącym się w Cetniewie, oddalonym o 2 km od Wielkiej Wsi Hallerowa. Koło Medyków, przodujące nadzwyczajną tężyzną organizacyjną, nie miało dziesiątek tysięcy do swej dyspozycji, urządziło więc swój obóz prymitywnie, lecz właśnie dla dzieci miast, brak wszelkich wygód miał pewien urok. Życie obozowe hartowało fizycznie i psychicznie, uczyło młodzież z pogodą ducha znosić wszelkie niewygody.

A więc myć można się było tylko w wielkim basenie morskim, albo też przy pomocy kolegów i koleżanek, używając zamiast wodociągu, kubłów do wzajemnego polewania. Sleepingi zaś nadmorskie mieściły się w olbrzymim hangarze lub zabudowaniach gospodarczych. Wszystkich uczestników obowiązywała praca obozowa, a więc akademicy pełnili służbę porządkową i wartowniczą, zaś akademiczki czuwały nad przyrządzaniem potraw i podawaniem do stołu. Jakżeto musiano się spieszyć, by zadowolić swoją kompanję, a zwłaszcza owe filigranowe osóbki, które krzyczały rytmicznie: jeść, jeść, jeść! Nic dziwnego, że przybywało im na wadze przynajmniej po jednym kilo w ciągu tygodnia. Obozowicze w wolnych chwilach od kąpieli, a tych było bardzo mało, grali w siatkówkę, odbywali nawet mecze między obozem medyków a Szkołą podchorążych sanitarnych. Gdy zapanowała niepogoda, co zdarzało się niestety zaczęsto, wtedy otwierano salony dancingowo-bridżowe w pobliskiej stodole. Gdy zaś słoneczko przygrzało, wtedy wypiekano ciała na Etjopów. Humor w obozie panował tak obfity, iż wydzielano również szczodrze porcje jego przy pomocy artystycznej rewji, która działała pod nazwą „leczymy śmiechem".

Najzdolniejsi artyści, muzycy i literaci-medycy ułożyli świetne teksty monologów i djalogów, z których najlepsze były „Podwórkowi lekarze" i „Siostry Bzdurskie". Sporządzono nawet marjonetkowe figury, sklecono wóz Tespisa i objechano nim wszystkie nadbrzeżne obozy morskie, a nawet dotarto do samego Giewontu...

Obóz w Hallerowie gościł blisko 400 uczestników, którzy dali sobie słowo, iż spotkają się w następnym roku znowu w tymże obozie.

Zapobiegliwe Koło Medyków urządziło pod kier. K. Mordzyńskiego, absolw. med., obóz w Kościelisku, który zespolił znowu licznych taterników. W obu obozach znaleźli gościnę przybyli na zjazd studenci Polacy z zagranicy, oraz medycy, odbywający praktykę w polskich szpitalach. W obozach znajdowało się wielu studentów z sąsiednich państw, którzy nawiązywali serdeczne stosunki z naszą młodzieżą. Niewątpliwie, iż tak świetnie zorganizowane obozy letnie rozwiną szerszą działalność dla dobra akademickiej młodzieży polskiej.

Krystyna Dienstl.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. T. DĄBROWSKI.



„Wał medycznych ciał" na plaży.



Przy obiedzie.



Porządek przedewszystkiem...



Poranna lekcja gimnastyki.

WIDMO WOJNY NAD AFRYKĄ



Parada wojsk abisyńskich przed Negusem.
Fot. Eisenstaedt, A. P.

Nad Morzem Śródziemnem zbierają się gęste chmury, sunąc powoli w kierunku południowo-wschodnim. Wykwitają nad apenińskim półwyspem, huczą echem gromkich okrzyków wojennych wojsk italskich — a potem ciągną nieprzerwanie poprzez Kanał Sueski i Morze Czerwone ku brzegom Erytrei i Somali, gdzie zapobiegliwa Italja przygotowała wszystko, co tylko potrzebne do uczynienia... przykrości abisyńskiemu negusowi. Faszyzm przetworzywszy kraj włoski „od fundamentów aż do szczytu" — przekuł duszę synów Italji na stal... setek tysięcy karabinów, armat i niezwykle wojowniczego usposobienia. Zadawnione poczucie krzywdy, jakiej Włochy doznały w Wersalu, nie otrzymawszy przyobiecanych zdobyczy wzamian za przystąpienie do wojny po stronie aljantów — podsycanie tego poczucia odpowiednio kierowanem wychowaniem narodu, wydało swe owoce w obecnym konflikcie o nieznanym narazie zasięgu międzynarodowym. Trzynaście lat nowego ustroju faszystowskiego zdołało przygotować wybuch, którego przypuszczalnie nie zdoła ugasić nawet tak starająca się i zapobiegliwa straż pożarna, jaką jest obecna Liga Narodów.

Nie po raz pierwszy zresztą Liga Narodów staje wobec bankructwa swego nieżyciowego optymizmu. Gran Chaco, Mandżurja — to dwa rumieńce niczem nie zatartego wstydu młodziutkiej orędowniczki pokoju i... spokojnego używania dóbr przez nasycone powojennymi łupami mocarstwa Zachodu. Nie po raz pierwszy kuluary „parlamentu świata" rozbrzmiewają niespokojnemi rozmowami na temat nowego wulkanu, którego lawa może zalać nie tylko Europę, lecz także i inne części maleńkiej kuli ziemskiej.

Włochy przygotowywały się systematycznie do ostatniego występu. Podsycały propagandą rozrodczości swe masy, starały się na forum międzynarodowem pozyskać zrozumienie swych wielkomocarstwowych konieczności — słowem nie zaniedbywały niczego, coby zbliżyło ich do wyznaczonego oddawna celu. Bo faszyzm włoski swą dynamiką rozpierał już od samego początku ciasną przestrzeń apenińskiego buta, rozrósł się i zmężniał, szukając swych możliwości o wiele dalej, niżby się komukolwiek wydawało. W miarę postępu czasu zmieniał się apetyt Włoch faszystowskich. Zaczęły skromnie od penetracyj na terenach francuskiej Sabaudji i Tunisu — a stanęły narazie na niepołkniętym dotychczas przez nikogo jeszcze kąsku abisyńskiej pieczeni. Pieczeń ta pachnie niezwykle ponętnie — kopaliny i olbrzymie połacie urodzajnej ziemi stanowią dla chudych dosyć Włoch idealne lekarstwo na przytycie. To też Wielki Lekarz-Mussolini wie, co robi — nie wzdragając się przed upustem drogocennej krwi włoskiej. Przypuszcza zapewne, że upust ten przyśpieszy znacznie przemianę materji dóbr narodowych na lepsze i w o wiele obfitszej ilości.

W tem dążeniu ku otwartym przestrzeniom oceanów natrafia Italja na zdecydowany opór Wielkiej Brytanji. Interesy tej ostatniej bowiem są obecną akcją włoską wybitnie zagrożone. Przedewszystkiem Wielka Brytanja obawia się zamknięcia swego Anglo-Sudanu i Egiptu właściwego w ciasnych klamrach włoskiej Libji i ew. świeżo zajętej Abisynji. Nie zapominajmy bowiem, że w niebotycznych górach abisyńskich ukryły się źródła Błękitnego Nilu, których posiadanie przez Włochy byłoby jednoznacznem z uzależnieniem od italskiego zdobywcy terenów, nawadnianych corocznie przez „narodową rzekę Egiptu". Anglja obawia się słusznie takiej zależności, która zazwyczaj bywa doskonałym wstępem do... dalszego ciągu i zakończenia o podobnym jak wstęp charakterze. Innemi słowy Anglja ma wszelkie dane przypuszczać, że zamierzona przez Italję aneksjaEtjopji może skończyć się... wojną brytyjsko-italską o Sudan i Egipt właściwy. Dlaczego? — zapyta zdziwiony czytelnik — czyżby Włochy miały jakikolwiek interes w tem, by zadzierać z najpotężniejszem państwem na kuli ziemskiej, które obejmuje jedną czwartą jej obszarów i panuje nad 450 miljonami ludności?

Odpowiedź na to pytanie znajdziemy na... mapie śródziemnomorskiego basenu. Przypatrzmy się dobrze warunkom geograficznym półwyspu italskiego: jest on z jednej strony odcięty od szerokiego świata cieśniną Gibraltarską — z drugiej strony Suezkim Kanałem. Oba te cenne „objekty" są od dziesiątek lat w posiadaniu Wielkiej Brytanji. Może ona temi dwoma ujściami regulować dowolnie upust zaborczej energji włoskiej, zamykając ją w ostatecznym razie w ciasnych „murach" Śródziemnego Morza. Ponieważ zaś regime faszystowski nie ma zamiaru dusić się w wyznaczonych mu położeniem geograficznem i... polityką międzynarodową ramach — szuka sobie prawdopodobnie innych dróg, z których najlepszą narazie wydawałaby mu się trasa: Libja—Egipt—Etjopja. W ten sposób, w razie pomyślnego wykonania tych zamiarów, „but apeniński" wydłużyłby się niepomiernie i oparłby swą szeroką stopę na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. Stąd już łatwo dążyć dalej w momentach ku temu sprzyjających.

Przewidująca Anglja spostrzegła w lot, co się święci. Odrazu stanęła na gruncie pokojowego zażegnania konfliktu. kosztem rzucenia Włochom paru koncesyj na terenach abisyńskich. — Włochy jednak okazały się w dyplomatycznej grze zręczniejsze i... odrzuciły z miejsca propozycje Wielkiej Brytanji. W dodatku zapewniły Anglję, że będą nadal postępować tak, jak im to podyktuje racja stanu i nie zniosą jakiejkolwiek ingerencji w sprawach, które są dla nich kwestją życia i śmierci.

Rzeczywiście Italja jest dotychczas bardzo uzależniona od... angielskiego surowca, a zwłaszcza tego, z którego wyrabia się armaty i karabiny. W Abisynji zaś podobno na nim nie zbywa, nie mówiąc już o wielkich złożach platyny i złota, kruszców bądź co bądź dość poszukiwanych.

Rozbieżność zdań w tych wysoce drażliwych kwestjach spowodowała zerwanie szeregu konferencyj, poświęconych załagodzeniu „konfliktu abisyńskiego" — a przynajmniej jego zlokalizowaniu. Ostatnio zerwaną została naskutek nieustępliwości Włoch „konferencja trzech" w Paryżu, gdzie Anglja raz jeszcze mogła się przekonać o wielkiej prawdziwości zasady: „kto czem wojuje — ten od tego ginie". Mimo całej zręczności p. Edena — nie udało się mu wyprowadzić w pole chytrego przedstawiciela Italji, który wysłuchawszy z wielką uprzejmością pragnień i propozycyj angielskich — sam otoczył się mgłą milczenia i tajemniczości. W rezultacie p. Laval dawał wymijające odpowiedzi ciekawym dziennikarzom, a p. Eden wrócił jak niepyszny do Londynu, nie uzyskawszy spodziewanego nad przeciwnikiem zwycięstwa. Jedynym, który pozostał w formie do końca — był bar. Aloisi, przedstawiciel italski w tem dyplomatycznem (narazie!) starciu.

W dniu 4 września zbiera się w Genewie Rada Ligi, by zadecydować ostatecznie o wytycznej swego postępowania w stosunku do zaborczej Italji. Tymczasem Anglja przygotowuje się na wszelki wypadek, ściągając na morze Śródziemne i do Kanału Suezkiego okręty wojenne Jego Królewskiej Mości, umacniając swe bazy strategiczne, przygotowując ludność swych śródziemnomorskich posiadłości na ewentualność... napadu z powietrza.

Mussolini wysyła do Erytrei i Somali jedną dywizję po drugiej — wygłaszając od czasu do czasu wojownicze przemówienia, w których wzywa Włochów do wypełnienia swego obowiązku wobec Italji i jej dalekosiężnych zamiarów.

Jedno z tych przemówień szczególnie zaznaczyło się maleńkim, niezmiernie ciekawym ustępem. Powiedział w nim Mussolini, że Italja ma w ręku swem broń, przed którą zadrżeć mogą wszystkie kontynenty globu. Czyżby tem należało tłumaczyć wojowniczą butność italską i... niezwykłą powściągliwość Wielkiej Brytanji?

Najbliższa przyszłość przyniesie nam rozwiązanie tej niepokojącej zagadki.

Adam Cyprian.



Typowy piechur abisyński.
Fot. Eisenstaedt A. P.



Odjazd wojsk włoskick z Genui na front afrykański.
The New York Times, Berlin



W związku z niebezpieczeństwem wojny odbywają się w całej Abisynji zgromadzenia ludowe, na których omawiana jest sytuacja polityczna.
Fot. Scherl, Berlin.



Na konflikcie włosko-abisyńskim najlepiej zarabia towarzystwo akcyjne, eksploatujące kanał Sueski, które jak dotąd, za przejazd okrętów włoskich zainkasowało około 850 tysięcy funtów szterlingów.
The New York Times, Berlin.



Ze względu na zaostrzoną sytuację polityczną premjer angielski Baldwin przerwał swój urlop wypoczynkowy i przybył do Londynu, aby wziąć udział w posiedzeniu rady ministrów.
France Presse, Paris.

Pogrzeb ministra Razza i jego towarzyszy, którzy zginęli w katastrofie samolotowej w pobliżu Kaira, w czasie podróży do Abisynji, odbył się w Rzymie z wielką okazałością. W uroczystościach pogrzebowych wziął udział Mussolini i wygłosił mowę (na zdjęciu).
The New York Times, Berlin.

ŚLUB CÓRKI LAVALA



Joseé z domu Laval i jej mąż hr. René de Chambrun. *Fot. France-Presse. Paris.*

Wielką sensację Paryża stanowił ślub córki premjera Lavala Józefiny, która w tych dniach w kościele św. Klotyldy wzięła ślub z wnukiem bohatera narodowego Francji i Stanów Zjednoczonych gen. La Fayetta, hr. Chambrunem, z zawodu adwokatem, posiadającym zarówno dyplom francuski jak i ameryganski.

Premjer francuski Laval pochodzi z chłopskiej rodziny z Prowansji i aż do 15 roku życia prowadził życie wyrobnika, ucząc się równocześnie w chwilach wolnych od zajęcia. Dzięki wielkim zdolnościom i silnej woli zdołał on przezwyciężyć trudności, piętrzące się na drodze jego karjery, ukończyć prawo i zostać adwokatem. Jedyna jego córka Józefina otrzymała bardzo staranne wykształcenie, studjując kolejno filozofję, nauki przyrodnicze i prawo. Włada ona świetnie językiem angielskim i niemieckim. Dużo podróżowała m. i. zwiedziła dokładnie Rosję sowiecką. Przez szereg lat sprawowała obowiązki sekretarki swojego ojca, który już raz piastował urząd premjera, a obecnie stał się czołową osobistością życia politycznego Francji. We wszystkich podróżach, jakie premjer Laval odbywał po Europie, towarzyszyła mu zawsze córka, świetnie wywiązując się ze swych zadań. Bawiła ona także w Polsce, w czasie ostatniej wizyty premjera Lavala, kiedy jadąc do Moskwy wstąpił on do Warszawy, a następnie reprezentował Francję na pogrzebie Marszałka Piłsudskiego.

Te wszystkie zalety panny Józefiny sprawiły, że jest ona osobistością we Francji bardzo popularną i bardzo kochaną, reprezentując typ nowoczesnej kobiety, dzielnej obywatelki i dobrej córki.

Po ślubie państwo młodzi wyjechali do Kanady. Ojciec panny Józefiny, a dzisiaj już hrabiny Chambrun, jest jednak niepocieszony: kto mu bowiem zastąpi dotychczasową sekretarkę?



Jednym ze świadków ślubu był sławny generał Pershing, były główno dowodzący armji amerykańskiej na froncie zachodnim w czasie wojny światowej. *Fot. Franc Presse, Paris.*

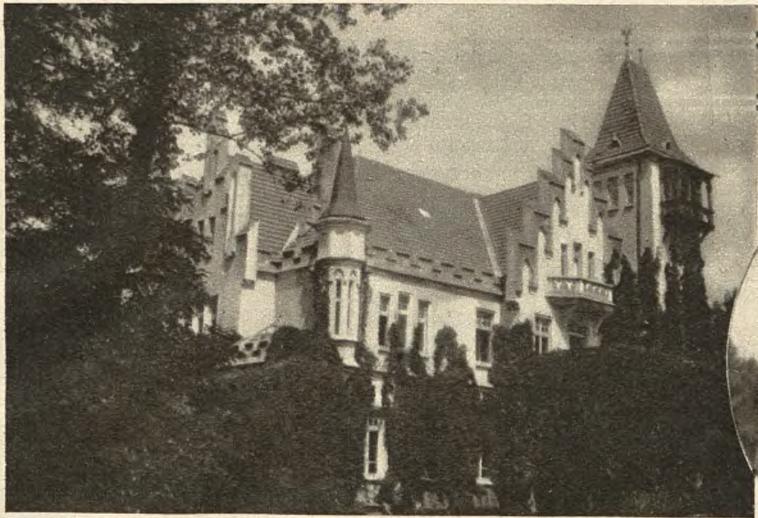


Gen. M. G. La Fayette, bohater walk o wolność Stanów Zjednoczonych jest dziadkiem hr. de Chambrun.



Rodzice państwa młodych: państwo de Chambrun, po lewej i państwo Lavalowie. *Fot. Franc Presse, Paris.*

NA CICHYCH RUBIEŻACH.


Pałac w Perebieżowie.


Karol ks. Radziwiłł, ordynat dawidgródzki.


Główny korpus w pałacu ks. Radziwiłłów w Dawidgródku.

Podróżny, jadący statkiem z prądem Horynia, widzi po obu stronach płaskie, przeważnie niezalesione brzegi. Dopiero w Mańkiewiczach przepływa u stóp wcale potężnego wyniesienia terenu, pokrytego staremi drzewami, nad któremi króluje wieża pałacu XX. Radziwiłłów, posiadająca wiele podobieństwa z jej siostrzycą nieświeską. Obie zakończone są u góry dumnym orłem, co wzrokiem bystrym obejmuje całą okolicę. Nad głównym korpusem gmachu powiewa żółto-czarna chorągiew — znak, że pan domu jest obecny.

W Mańkiewiczach koncentruje się całe życie olbrzymiej ordynacji dawidgródeckiej, słynącej przedewszystkiem ze swej puszczy, otoczonej staranną opieką jej właścicieli. Dobra te są w ręku Radziwiłłów od r. 1586, a dostały się do nich od znanego rodu Kiszków. Dawniejszą siedzibą był Dawidgródek, założony podobno w XIV. w. przez ks. Daniela. Władali nim początkowo książęta Horodeccy, następnie Świdrygiełłowie, wkońcu ks. Jan Jarosławicz i syn jego Teodor, po którego bezpotomnej śmierci włości przeszły na własność królowej Bony. Obecnie Dawidgródek nie posiada specjalnego znaczenia, ponieważ leży daleko od kolei i musiał ze swego stanowiska ustąpić na rzecz młodej osady — Mańkiewicz.

Pałac, wzorem tylu innych na Kresach — nie miał szczęścia. Wielka wojna przemieniła go na smutny szkielet dawnej świetności. Trzeba więc było z wiarą w lepsze jutro zaczynać pracę od podstaw. Może nie udało się przywrócić domowi dawnego wyglądu, jednakże estetyce uczyniono zadość i przykre wspomnienia zatarły się.

Przez Horyń i kilka połączonych ze sobą jezior, wpływa się na najpiękniejszą rzekę poleską — Lwę. Po obu brzegach spokojnej i gładkiej, jak zwierciadło toni, stoją odwieczne drzewa puszczy, przeglądając się w kryształowej wodzie, jakoby dziwiąc swemu własnemu pięknu. Mimowoli wiosło wędruje na spód łodzi, aby człowiek mógł odetchnąć całą piersią cudem natury, aby wsłuchał się w jej mowę, poznał jej duszę. Zachodzące słońce rzuca światła na głębiny, które nabierają koloru żółto-fioletowego. Chciałoby się tę chwilę zatrzymać na dłużej, aby sycić zmysły czarem, nigdzie indziej niespotykanym.

Dla myśliwego otwiera się świetny teren do polowania nad jeziorem Zasumieńskiem. Droga doń prowadzi przez kładki, rzucone po trzęsawiskach i bagnach. Spotyka się tu moc ptactwa błotnego jak dzikie kaczki, głuszce, cietrzewie. Samo jezioro, skryte wśród lasu, o dość dużej objętości, spokojnie przy brzegu, pokryte kwiatami nenufarów, na środku okazuje się ruchliwe i falujące — jak morze w miniaturze. Przybysze, nocujący w małym domku myśliwskim, mogą podziwiać cudowne wschody słońca i budzenie się do życia mieszkańców puszczy.

W okolicy Mańkiewicz istnieje typowa wieś Białohusza, zamieszkała częściowo przez chłopów, częściowo przez szlachtę zaściankową. Na tabliczkach z numerami, przybitych na rogu każdego domu, widnieją także herbowe nazwiska jak: Bruccy, Paszkiewicze, Rancewicze... Stąd w krótkim przeciągu czasu dojeżdża się do Bereżnego. Ciekawy jest dwór, wybudowany przez posiadaczy tej wsi, Oleszów, którym nadał ją w r. 1508 ks. Jarosławicz. Dom byłby klasycznym przykładem dworu polskiego, gdyby nie przybudówka, wydłużająca niefortunnie jedno jego skrzydło. Majątek należy obecnie do ks. Anny de Maille, z domu Radziwiłłówny, córki bohatera ostatniej wojny, adjutanta Marszałka, Stanisława ks. Radziwiłła.

Stara miejscowość, Perebieżów, wchodząca dawniej w skład dóbr ks. Sołomereckich, obecnie własność Jerzego Uznańskiego, posiada wspaniały pałac, wzniesiony przez Cezarego Oleszę ogromnym nakładem energji i finansów. Na mokradłach postanowił on ufundować dla swego rodu rezydencję, która przetrwałaby wieki. Osuszył więc bagna, podsypał miejsce pod dom. Do ślicznego, w stylu angielskiego gotyku zameczku sprowadził pięć wagonów wytwornych mebli z Petersburga, co kosztowało bajońskie sumy. Następnie założył park, okolony sadzawką, z jeziorkiem pośród przepięknej grupy drzew i świątynką grecką na brzegu. Nad temi cudami panowały smukłe wieże i wieżyczki, strzelające ku niebu. Wnętrze zostało ozdobione wspaniałym hallem z kolumnadą gotycką i artystycznej roboty kominkiem marmurowym. Oświetlenie szło zgóry przez różnokolorowe szybki, ułożone w barwną mozajkę. Jednakże — zda się, iż jakieś fatum zaciążyło nad Perebieżowem, gdyż właściwie nikt tu nie zaznał jeszcze szczęścia długiego i miłego pobytu, do jakiego został stworzony — począwszy od założyciela aż do dzisiejszego właściciela. Obecnie pałac stoi pusty.

Trzeba wspomnieć jeszcze o wielkiej narodowej pamiątce. Oto lasy majątku Woronie kryją mogiły powstańców z 63 roku. Dochodzi się do nich szeroką piaszczystą drogą polną, a potem następuje przeprawa zapomocą poleskiej „duszehubki" przez rzeczkę Czakwę, wijącą się wśród krzewów łozy, przykrytą wysoko baldachimem odwiecznych dębów, zapewne niejedno zdarzenie pamiętających. Pod jednym takim patrjarchą śpią snem wiecznym nieśmiertelni bohaterowie. Zwykłe ogrodzenie drewniane, zamykające kwadrat, a na środku wysoki krzyż z napisem: „Tu spoczywają powstańcy polscy, polegli w walce z najeźdźcą w r. 1863 za naszą wolność i waszą". Druga podobna mogiła znajduje się w oddaleniu około kilometra, wśród falujących zbóż.

Cicho płynie łódź w drodze powrotnej. Nadchodzi wieczór. Mimowoli powstają w duszy obrazy walk, na tej ziemi stoczonych, na ziemi takiej szarej i napozór monotonnej, a tak umiłowanej i swojej. Wokół głębokie milczenie. Tylko niesforne serce bije czegoś tak mocno, tak bardzo mocno...

Ksawery Niedobitowski.


Typowa grobla poleska.


Kładki na błotach poleskich.


Ubity łoś z lasów ordynacji dawidgródzkiej.


Na rzece Lwie.


Jezioro Zasumeńskie.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA K. NIEDOBITOWSKIEGO.

„Musicie dobrze pić, macie przecież miasto... Wino”.

W Sorede, we wrześniu.

Wybierając się w te strony, solennie obiecywałem sobie przed opuszczeniem Paryża, że tym razem wina do ust nie wezmę... Wiedziałem już z praktyki, na jakie katusze narażony jest na Południu Francji człowiek, który raz zajrzy do szklanki. Bo jeśli w całej Francji wino jest niezwykle tanie, to w okolicach produkujących ten cenny gdzieindziej trunek, jest ono jeszcze tańsze, bo nie kosztuje nic. Każdy ma tu swą winnicę, każdy hoduje winogrona na skrawku ziemi, i wyciska z nich sok, umiejętnie manipulując winogronami różnych gatunków. Praca ciężka. Zwłaszcza w okolicach górzystych, gdzie winnice gnieżdżą się na stokach górskich, podpieranych murkami i wyrywanych w pocie czoła naturze. Bo usypiska powodowane zwietrzeniami są coraz liczniejsze... Ale skądinąd teren taki, doskonale nasłoneczniony, szczególnie nadaje się na hodowlę winodajnych owoców.

Przyjechałem tedy i znalazłem się oczywiście zaraz w knajpie, jako, że inaczej żadnej sprawy tutaj załatwić nie można. Zauważyłem przytem, że nawet wśród tygodnia schodzą się tu gromadnie tubylcy, by coś zapić, ani razu jednak nie zauważyłem pośród nich kobiet... Te pozostają w domu i pracują... Gospodarz stanął już nad nami. Większość zamawia „Berger” lub „Pernot” czy t. p. pomyje anyżowe, imitujące w smaku absynt, zabroniony od wojny. Ja odważnie:

— Donnez-moi un quart de Vichy! (Proszę o ćwierć butelki wody Vichy).

W towarzystwie zapanowała konsternacja. Nastąpiło milczenie. Spojrzano na mnie jakoś nieufnie... Wreszcie gospodarz, nie przywykły do manier kelnerów wielkohotelowych wypalił prosto z mostu:

— My tu panie, w krainie wina, wody nie pijemy!

Nie znaczy to bynajmniej, by zapijali się winem tylko własnej roboty, zaglądają także chętnie do butelek wspomnianych wyżej „aperitiwów”.

Specjalnością wschodnich Pirenejów jest wino słodkie „En Grenache”, które robi się z kunsztownej mieszaniny winogron muszkatowych i jakichś innych. Ale o to wino łatwiej w sklepie winnym w Paryżu, niż u producentów, z których jakoś żaden nie ma ochoty go sprzedawać, chowając ten specjał dla siebie i dla przyjaciół.

Jeśli wspomniałem „grenache”, to warto dodać, że wino to o kolorze i smaku syropu owocowego, „waży” (jak tu mówią fachowcy) do 18 stopni alkoholu, i zdradliwie idzie w nogi, bo pije się to, jak wodę ze sokiem...

Ale to już specjał. Tubylcy wolą ordynarne wino czerwone, którego pochłaniają z dwa litry dziennie. A i to wino „waży” do 13, a nawet 14 stopni alkoholu! Niekiedy nie mogę się przemóc. Kwaśne to świństwo, często o przykrym smaku... spirytusu denaturowanego...

Co najdziwniejsze jednak: ani razu nie widziałem tu kogoś pijanego... A gdy próbuję wodą rozcieńczyć wino, spoglądają na mnie równie nieufnie, jak wtedy gdy prosiłem o ćwiartkę „Vichy”...

Gdy w swoim czasie zamierzano masowo osadzić Polaków na roli w tych stronach, powstał poważny problem:

— Czy, aby nie nadużyją tego wińska, które tu płynie niemal potokami i kosztuje w handlu po franku (34 grosze) za litr! Tylko ten „fisc” (Urząd skarbowy)...

Niekiedy pytają mnie:

— A u was, pije się dużo, tam, w Polsce? Macie nawet miasto, które nazywa się... Wino?

Miał na myśli... Wilno! I znajduję się wtedy w dosyć paradoksalnej sytuacji. Gdy powiem, że my pijamy wodę, tubylcy stracą wszelki sentyment do Polski; gdy powiem, że pijemy więcej, niż oni tu (co jest zresztą całkowicie niemożliwe!), to licho wie, co sobie pomyślą. Uśmiecham się więc tajemniczo. Niech sobie myślą, co chcą.

Zygmunt Frenkiel.



Typowa gospoda południowo-francaske.

Pogranicze francusko-hiszpańskie w Pirenejach.



Przemytnicy wina. *Wszystkie zdjęcia: Frenkiel, Paryż.*

Wracamy...



Kostjum z pelerynką z brązowej wydry do wełny ciemno beige.



Płaszczyk jesienny w stylu sportowym z wełny w krateczkę beige-niebieską z kołnierzem bobrowym.



Powrót na wrzesień z letnisk czy z podróży wakacyjnych oznacza już definitywne przejście do sezonu jesiennego w modzie. Oznacza też równocześnie pierwsze kroki w kierunku szybko już potem się zbliżającego sezonu zimowego. O nim zwykło się stawiać horoskopy mniej lub więcej prawdopodobne w tym właśnie okresie. Ale do nich należy ustosunkowywać się dość krytycznie, bo rzadko kiedy spełniają się zapowiedzi rzucane obecnie, choćby były najbardziej oryginalne. Bo w Paryżu inspiracje mody są tak różnorodne, że dużo zmian następuje w błyskawicznem tempie zanim ustali się to, co potem stanowi główne wskazania danego sezonu.

Ogólna linja nie wykazuje narazie zmian. Tendencje utrzymują się dalej dla młodocianej sylwetki. Spódniczka może być zupełnie prosta lub plisowana, albo też rozszerzona dołem przez godety. Rozcięcia z boku lub z tyłu, pozostają nadal w użyciu i czasami podchodzą nawet bardzo wysoko, ukazując piękne i pięknie obute nóżki.

Bluzy nadal w sferze łaski. W dzień skromne, wysoko zapięte pod szyją, wieczorem olśniewające czyto przez materjał, czy przez pracowitość wykończenia szczegółów, czy też — co najważniejsze — przez niezwykle śmiały dekolt pleców...

Na suknie i płaszcze widzimy coraz nowe materjały wełniane. Także i aksamit znów przychodzi do głosu, prawdopodobnie nietylko w formie przejściowej, gdyż lansowane są zupełnie nowe gatunki o coraz oryginalniejszej fakturze. A same ich nazwy mają zachęcić do wypróbowania „Fleur de rose" albo „Joli coeur" i t. p.

Z pośród odmian wełny bardzo dużo nosi się t. zw. „Manyfils", z czego wszystko może być wykonane — od sukni i płaszcza do kapeluszy i rękawiczek. Od wełny jeden już krok do futer. Naturalnie, że mnóstwo w Paryżu jest futer najcenniejszych, o których tylko marzyć mogą zwykłe śmiertelniczki, kupując dla siebie sztuczne saelskiny.

Ale do ich noszenia jeszcze daleko. Złota jesień u naszych progów, a z nią możliwość korzystania dość długo z lżejszych sukienek, byle tylko mieć odpowiedni płaszczyk na chłodniejsze pory dnia.

J. Z.

Doskonały płaszczyk podróżny z angielskiej wełny w kratę.

Marja HESSEL

41)

PIĘCIOPŁATNICA

POWIEŚĆ

Nazajutrz wszystkie główne dzienniki europejskie, z polskim „Ilustrowanym Kuryerem Codziennym“ na czele doniosły całemu światu, że ambasador angielski w Warszawie, lord Jerzy Balfoor, ofiaruje 10.000 dolarów nagrody temu, kto wróci zdrowie chorej śmiertelnie jego córce. Na tle tego bolesnego konkursu widniała fotografja pięknej dziewczyny. Z roztrzęsionej burzy jasnych jak słońce włosów patrzyły smutno wielkie śliczne oczy, którym groziło, że lada dzień zgasną na zawsze... Równocześnie bowiem dzienniki te doniosły, że stan zapadłej na śpiączkę jest beznadziejny i że wezwani najznakomitsi lekarze polscy i zagraniczni orzekli, iż w każdej chwili należy spodziewać się śmierci.

* * *

W sypialni panował półmrok, bo okna, choć otwarte, były przesłonięte. Przez szczeliny pomiędzy żaluzjami sączyło się do pokoju światło słoneczne i drgało na wykwintnych mebelkach.

Na łóżku, stojącem w cieniu, leżała Agnes. Zmieniona była nie do poznania. Straszliwa choroba do tego stopnia wyniszczyła jej ciało, że ta wysoka, wysportowana miss wydawała się nieomal małem dzieckiem. Chuda twarzyczka była trupio blada i żółtawa, usta suche i sine, a półotwarte oczy, błyskające martwemi białkami tonęły w ziemistym cieniu. Leżące pod kołdrą ręce i nogi drżały bezustannie i trzęsły się tak, że od czasu do czasu słychać było skrzypienie dygocącego w zawiasach łóżka.

Ale poza owem drżeniem rąk i nóg niczem już nie zdradzało się w niej życie. Leżała nieruchomo, nie oddychając nawet, jak woskowa lalka.

W pewnem oddaleniu od łóżka siedziało sześć osób: państwo Balfoor, syn ich, o rok młodszy od Agnes, Jan i najmłodszy, czternastoletni Williams, którego Jan obejmował ramieniem, ocierając jednocześnie dłonią zapłakane oczy dziecka. Obok siedziało dwóch lekarzy.

Wszyscy milczeli. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. A może bali się spłoszyć słowem to wątłe życie, które i tak już odchodziło od nich zwolna, lecz nieubłaganie.

W progu stanął lokaj lekko i cicho, jak duch.

— List do pana ambasadora!

Wszyscy sześcioro podnieśli głowy. Lord wyciągnął rękę.

Pięć par oczu śledziło z niepokojem jego palce, rozrywające kopertę. Nagle na kolana lorda upadł duży, aptecznie zawinięty proszek.

Lekarze uśmiechnęli się wzgardliwie. Setki już takich proszków i innych leków dochodziły codzień do rąk rodziców, pragnących za wszelką cenę uratować swe dziecko. Lekarze pozwolili stosować każdy, logiczny — ich zdaniem — środek, twierdząc, że Agnes nic już zaszkodzić nie może.

Oczywiście, żaden z leków, nadesłanych przez żądnych wysokiej nagrody „lekarzy“ nie poskutkował, a tylko zgnębił rodziców nowem rozczarowaniem.

Obecni spoglądali więc obojętnie na proszek, który lord obejrzał uważnie i zatrzymał w dłoni, następnie na małą kopertę, w której również coś było. Coraz uważniej zato przyglądali się twarzy ambasadora, która bladła i płomieniała naprzemian. Balfoor przeczytał naprzód list po cichu, a potem, widząc utkwione w siebie oczy, odczytał go na głos:

„Milordzie!

Załączam proszek, który córce pańskiej wróci zdrowie. Zawartość jego należy rozdzielić na sześć równych części i w równych odstępach czasu, to jest dokładnie co godzinę, jedną część tego proszku wsypać chorej w nozdrza. Nie myślę zupełnie zapewniać pana o skuteczności tego lekarstwa. Przekona się pan sam o niej po upływie sześciu godzin. Gdy córka pańska wróci do przytomności i zacznie oddechać normalnie a jednocześnie zniknie właściwe śpiączce drżenie nóg i rąk, należy podać jej natychmiast szklankę chłodnego naparu z płatu, który również w kopercie załączam. Płat ten zalać litrem wrzącej wody, a podawać chłodny przez cztery dni po jednej szklance; pora obojętna.

Zaznaczam w końcu, że załączone leki są dla osób zdrowych w najwyższym stopniu niebezpieczne, dlatego stosować je trzeba bardzo ostrożnie, by płyn nie dostał się do żołądka, a proszek do nozdrzy.

Zgóry podzielam pańską radość, szlachetny lordzie i winszuję panu jednocześnie prawdziwie pięknej córki, jej samej zaś szybkiego powrotu do dawnych sił, do czego późniejszy pobyt w górach bardzoby się przyczynił.

B. C.“.

Ambasador ostrożnie przedarł małą kopertę. Stłumiony okrzyk wyrwał się ze wszystkich ust.

Był w niej płatek, a raczej tylko nieduża część płatka kwiatu, którego nikt nie znał. Gruby i mięsisty, a miękki jak aksamit, mienił się w ręku lorda wprost przecudnie wszystkiemi kolorami tęczy. Równocześnie w nozdrza obecnych wpadł subtelny, nieopisanie piękny zapach i natychmiast rozszedł się po całym buduarze Agnes.

— O, coś nowego — rzekł z ironją jeden z lekarzy — przy tem coś niezwykle pięknego! Czy myśli pan, lordzie, że ta roślina będzie równie skuteczna, jak jest piękna?

Pani Balfoor drżała febrycznie. Oszałamiał ją zapach, więcej jeszcze oszałamiała nadzieja.

— Jerzy... — zaczęła, lecz nagle wybuchnęła płaczem.

— Uspokój się, Mary, nie płacz! — rzekł spokojnie lord i zwrócił się do lekarza:

— Czy będzie równie skuteczną? Nie wiem tego! Tyle razy zawiodłem się, spróbuję zawieść się raz jeszcze! A że pan jesteś lekarzem, przypuszczam lepiej odemnie wykonasz wskazówki nowego doradcy. Proszę postąpić ściśle według nich!

Podał list doktorowi, sam zaś wziął w rękę szarą kopertę, by ją zmiąć i odrzucić, gdy niespodziewanie zdziwienie odbiło się na jego twarzy. Ponownie obejrzał kopertę: nie mylił się, nie było na niej znaczka, ni stempla pocztowego. Przywołał dzwonkiem lokaja.

— Kiedy przyszedł ten list? czy pocztą popołudniową?

— Nie, milordzie, popołudniowa poczta została już panu doręczona. Ten list zauważyłem przypadkiem w skrzynce przed paru minutami, choć niedalej jak pół godziny temu skrzynka była zupełnie pusta. Nie wiem, skąd tam się wziął, ani kto go przyniósł i kiedy...

ROZDZIAŁ V

Godziny płynęły nieznośnie ciężko i powoli, jak wszystkie godziny oczekiwania i stały się wreszcie męką tak straszną, że nawet żelazne nerwy Jerzego Balfoor poczynały odmawiać posłuszeństwa. Dziwna rzecz! — przecież nowy doradca nie obiecywał nic innego, niż wszyscy jego poprzednicy, a jednak nigdy jeszcze tak nie biły serca mieszkańców willi ambasadora. Nadzieja, niepewność, myśl o więcej niż prawdopodobnym nowym zawodzie, targały naprzemian wszystkie dusze, aż je zmęczyły śmiertelnie.

Od chwili zastosowania lekarstwa upłynęło pięć godzin i pół szóstej. Za pół godziny Agnes albo miała odzyskać przytomność, albo...

Lekarze początkowo nie chcieli podjąć się zastosowania nowego lekarstwa. Oświadczyli, że stykają się z niem po raz pierwszy w życiu, a tem samem nie wiedzą, czy nadesłane proszki nie staną się ostateczną zgubą chorej. Lecz gdy Balfoor z dziwnym uporem zażądał, by uczynili wszystko, co nakazuje nowy doradca, ustąpili, oświadczając że źle ukrytem niezadowoleniem, że nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności za to, co się stanie.

Była godzina pół do jedenastej w nocy. Lord w towarzystwie jednego z lekarzy czuwał w pokoju córki. Twarz jego była blada, a oczy zapadnięte i zmęczone. Oczy te spoczywały bezustannie na łóżku, obejmując smutnem wejrzeniem leżącą na niem postać.

Minuty płynęły...

Nagle Balfoor, siedzący dotąd nieruchomo, gwałtownie wstał z fotelu i podbiegł do łóżka. Zwróciło to uwagę lekarza: podniósł głowę i również zerwał się, zdążając ku łóżku. Obydwaj rzucili sobie błyskawiczne, znaczące spojrzenie:

Ręce i nogi Agnes przestawały drżeć. Za chwilę ciszę pokoju zmąciło westchnienie: Agnes głęboko wciągnęła powietrze. Wciągała je coraz spokojniej i głębiej, jak człowiek, który się dusił przed chwilą. Równocześnie półotwarte oczy zamknęły się — usnęła.

Zegar wybił godzinę jedenastą. Należało ostatni raz zastosować zbawczy środek. Za godzinę Agnes miała odzyskać przytomność zupełnie.

Żelazna wola Anglika załamała się wreszcie. Ukrył głowę w dłoniach i płakał, jak dziecko, nie zwracając uwagi na lekarza, który krążył po buduarze osłupiony, niemal oszalały z radości i zdumienia, powtarzając:

— To niemożliwe! to niemożliwe! niemożliwe!!

Już zbliżała się północ, gdy Agnes otworzyła oczy. Natychmiast schyliła się nad nią wysoka postać. Oczy jej zetknęły się z oczyma ojca.

Poznała go i uśmiechnęła się.

— Jerzy... — szepnęła cichuteńko.

Upadł na kolana i przywarł ustami do ręki, leżącej bezsilnie na kołdrze.

Agnes uśmiechnęła się po raz drugi.

Miejskie zegary poczęły wybijać północ. Równocześnie na wieży pobliskiego kościoła począł dzwonić dzwon. Wesoło i dźwięcznie rozlegał się głos jego dokoła. Balfoor miał wrażenie, że dzwon ten głosi światu najradośniejsze Alleluja!

Agnes uśmiechała się ciągle, jak dziecko, któremu śnią się aniołowie i kwiaty...

W kilka chwil później lord zapukał do pokoju żony.

Mary zerwała się, z nią Jan. Chciała podejść do drzwi, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa; czuła, że lada chwila zwali się zemdlona na podłogę; zasłoniła dłońmi oczy, jakby bała się spojrzeć w twarz tego, kto wejdzie.

— Mary!

Natychmiast podniosła głowę.

— Mary! — powtórzył Jerzy z uśmiechem, wyciągając ku niej ręce.

Zrozumiała! Krzyknęła coś i z łkaniem padła mu na szyję.

* * *

W starej Europie wrzało, jak w mrowisku, zburzonem nieostrożną stopą. Prasa bezustannie komentowała nienotowany dotychczas w dziejach medycyny fakt wyleczenia śpiączki, a cały przebieg choroby Agnes Balfoor opisywany był, po raz niewiadomo który, we wszystkich językach świata.

Sfery lekarskie przyjęły wiadomość tę z przekąsem, a przedewszystkiem z niedowierzaniem, lecz, gdy wreszcie w Europie wybuchnął jeden wielki krzyk zdumienia i zainteresowania, a prasa stwierdziła niezbicie prawdziwość wypadku, lekarze przestali wątpić.

Tymczasem w polskim „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym“ i londyńskim „Times“ ukazał się sensacyjny artykuł prof. doktora Davis'a, który na życzenie ambasadora Balfoor stosował genjalny lek nieznanego wynalazcy.

Podziałało to, jak wrzucenie w płomień garnca prochu. Rozpoczęły się nieskończone serje międzynarodowych zjazdów, zebrań, odczytów. Warszawa, która jako miejsce wypadku, stała się centralnym punktem tych zgromadzeń, trzęsła się od wrzawy. Ze wszystkich stron świata dążyły w stronę gościnnej stolicy Polski setki uczonych profesorów, chemików i lekarzy. Wśród tych ostatnich byli nietylko ludzie, pracujący naukowo, ale również młodzi praktycy, bez względu na dział medycyny, w jakim się wyspecjalizowali. Zjechała się ich wreszcie ilość tak wielka, jakby w Warszawie odbywał się jakiś światowy kongres lekarski.

Czyniono najrozmaitsze domysły, ale niestety ciekawość świata nie została zaspokojona. Nieznany wynalazca okazał się głuchy na prośby, płynące ku niemu na falach eteru wszystkich długości— ślepy na wezwania, drukowane dzień w dzień na łamach najpoczytniejszych pism — nieczuły na obietnice, opiewające na bajeczne wprost sumy, wyrażane we wszystkich możliwych walutach obiegowych.

Agnes Balfoor, wróciwszy do sił, złożyła swemu zbawcy serdeczne podziękowanie i wyrazy dozgonnej wdzięczności, tą samą drogą, jaką ongiś ojciec zwrócił się do świata o ratunek dla niej. Równocześnie prosiła go, by zechciał zgłosić się po należną sobie nagrodę 10.000 dolarów.

W kilka dni później „I. K. C.“ zamieścił odpowiedź, nadesłaną do redakcji niewiadomo jakim sposobem:

„Do panny Agnes Balfoor, córki ambasadora angielskiego — w Warszawie.

Za życie nie płaci się pieniądzmi, ni słowem, to też pieniędzy twych i podziękowań nie przyjmuję, piękna lady! Ja zresztą nie ocaliłem cię przed śmiercią — ja tylko na czas jakiś oddaliłem ją od ciebie. Wszak wszyscy umrzeć musimy! Lecz ty, lady, zbyt piękną jesteś, by teraz umierać! Pamiętaj, że ocalenie zawdzięczasz samej sobie! Więc za ofiarowaną mi sumę spraw sobie jedną jeszcze toaletę, a co do podziękowań, to może jeszcze nadejść taki czas, że za usługę swoją zażądam wdzięczności, a od kobiety pięknej nie można żądać zawiele!... Pozdrawiam cię, jasnowłosa lady, i zapewniam, że jestem twym oddanym sługą

—B. C.“.

Agnes nie miała zarozumiałości, właściwej kobietom przeciętnym, to też hołd, złożony publicznie jej urodzie, nietylko nie wprawił jej w dumę, ale wzbudził w niej pewien rodzaj zażenowania. Była zupełnie przekonana, że nieznany wybawca mocno przesadza w zapędzie kurtuazji.

(Ciąg dalszy nastąpi).

sztuka i FILM



Janina Brochwiczówna,

królowa operetki warszawskiej. — **Bliższe szczegóły na stronie 16-tej.**

KILKA CHWIL Z JANINĄ BROCHWICZÓWNĄ.



Janina Brochwiczówna, królowa operetki warszawskiej.

Od paru lat zawojowały świat blondynki, nietyle prawdziwe, ile sztuczne, od zwykłych aż do „platynowych" włącznie. Kochane panie zblondyniały masowo, ale nie trudno było zorjentować się, gdzie sztuka, a gdzie natura, bo wprawdzie włosy były blond, ale reszta była w innym tonie malarskim i psychicznym. Ale Janina Brochwiczówna, którą sieć teatralna wyłowiła przed kilku laty i zaprezentowała w operetce „Pepina", nie jest do pomyślenia w innym typie, niż blondynki: jest stuprocentowo cała blond. Ma włosy, usta, ręce, ruchy i głos blond-platynowe.

Od pierwszego swego pojawienia się na scenie Janina Brochwiczówna „wzięła" Warszawę, mimo, że wtedy była jeszcze surowym talentem. Publiczność udzieliła jej kredytu i nie zawiodła się. W ciągu paru lat p. Brochwiczówna stała się gwiazdą operetki i komedji muzycznej i jej nazwisko na afiszu oznacza zgóry „powodzenie".

Mam z nią zrobić wywiad. Spotykamy się w Kawiarni Europejskiej. Szybko dochodzimy do porozumienia, że wywiad — to straszny banał, nudny i uciążliwy zarówno dla delikwenta, jak i dla oprawcy. Stereotypowy szereg zapytań i odpowiedzi. Można zgóry to wszystko napisać, jak poniżej.

— Kiedy Pani zaczęła myśleć o teatrze?
— Już od najmłodszych lat marzyłam na scenie.
— Co Panią pociągnęło do operetki?
— Miałam głos i lubiałam tańczyć — ale ja marzę o dramacie!
— Jaka jest Pani pasja życiowa?
— Kino i taniec.
— Jacy ulubieni aktorzy filmowi?
— Greta Garbo i Clark Gable.
— Lubi pani sport?
— Szalenie! Gram w tenisa i jeżdżę na nartach.
— Psy Pani lubi?
— Szalenie. Mam uroczego sky terriera.
— Lubi Pani podróżować?
— Szalenie.
— Gra Pani w brydża?
— Szalenie.
— Jakie jest Pani ulubione pismo?
— Szalenie... t. j. przepraszam... „Światowid".

Tutaj powinien nastąpić opis wnętrza domowego: duży tapczan, zarzucony poduszkami, dużo kwiatów, fotografje i wieńce, robótka włóczkowa, rzucona od niechcenia na krzesło, szafka z starą porcelaną, czeczotowy stoliczek, parę obrazów (ach, jakie ciekawe) itp. Całe szczęście, że wywiad odbywa się w kawiarni i nie potrzebuję o tem pisać.

Siedzimy więc sobie przy stoliku kawiarnianym i rozmawiamy „towarzysko". Dowiaduję się, iż p. Brochwiczówna jedzie „Piłsudskim" wraz z małżonkiem (ma, niestety, męża!) w pierwszej podróży okrętu tego naokoło Europy, a potem wraca do Warszawy na próby z „Wesołej wdówki", która grana będzie w gmachu „Wielkiej Rewji" w nowej inscenzacji. Poza tem dowiaduję się, iż jest osobą uczuciową i łatwo beczy w kinie, a poza tem jeszcze... Poza tem — p. Janina jest szalenie miłą kobietą, z którą się łatwo i przyjemnie rozmawia.

Czy ma sex appeal? Owszem, ale „blondynowaty", polegający na coctailu urody z linją i dystynkcją rozkapryszonego dziecka. W „Przygodzie w Grand Hotelu", w której pierwszorzędnie gra rolę wielkiej księżny, ma na sobie m. in. suknię z niebieskich dżetów. Gdybym był malarzem, namalowałbym ją w tej sukni, tylko... dorobiłbym syreni ogon i posłał na konkurs na herb Warszawy. Troszkę to staromodne, ale szalenie pasuje do niej ta „syrena".

Old Goj.

„WIOSNA W PARYŻU“.



Mary Ellis i znakomity reżyser Lewis Milestone, twórca filmu „Na zachodzie bez zmian“ podczas nakręcania filmu p. t. „Wiosna w Paryżu“.

Fot. Paramount.

W Ameryce panuje obecnie nowa moda na filmy muzyczne. Wytwórnia Paramount zaangażowała szereg najznakomitszych śpiewaków i śpiewaczek operowych: Między innymi: Jana Kiepurę, Mary Ellis i Gladys Swarthout.

Mary Ellis uakazała się w filmie Paramountu p. t. „Wiosna w Paryżu“ obok znakomitego aktora Tullia Carminati. Reżyserował Lewis Milestone, twórca filmu „Na zachodzie bez zmian“.

Mary Ellis jest aktorką obdarzoną nie tylko przepięknym głosem, ale także ujmującą aparycją.

Jej karjera jest istotnie niezwykła. Mając zaledwie szesnaście lat wystąpiła w Metropolitan Opera obok takich gwiazd jak Caruso, Scotti i t. d.

Następnie ukazała się w szeregu operetek jak: „Casanowa“, „Becky Sharpe“ i „Rose Marie“, która została dla niej specjalnie napisana.

Po swych triumfach amerykańskich wyjechała do Londynu, gdzie wystąpiła w szeregu filmów i sztuk, aby wreszcie podpisać kontrakt z Paramountem.

POLSKA AWANGARDA W PARYŻU



Reżyser Jerzy Gabryelski, autor znanego filmu awangardowego „Buty“, przystępuje w najbliższym czasie do nakręcania filmu nowego, według własnego scenarjusza, który będzie opracowany w dwóch wersjach — francuskiej i polskiej. Treścią filmu będzie życie nad Sekwaną z całą jego różnobarwnością. Główną rolę, w tym ciekawie zapowiadającym się obrazie, zagra artysta Komedji Francuskiej, p. Jean Weber, którego podobiznę wraz z dedykacją dla „Światowida“ obok reprodukujemy.

RENESANS FILMU AUSTRJACKIEGO.



Kaethe v. Nagy, gra czołową rolę w nowym filmie austrjackim p. t. „Portret Pompadour“.
Fot. F. C. Fuerst.



Marta Eggerth, znakomita artystka filmowa wystąpi niebawem w filmie wiedeńskim p. t. „Melodje miłości“.
Fot. F. C. Fuerst.

Renesans filmu austrjackiego, który rozpoczął się około dwuch lat temu, utrwalił się całkowicie. Kinematografja austrjacka jest dziś znowu jednostką, z którą liczy się cały świat.

Specjalnie teraz, w okresie letnim, wre w pracowniach wiedeńskich gorączkowa praca przygotowawcza do nowego sezonu. Powstaje cały szereg filmów, które już na jesieni pojawią się nietylko na ekranach austrjackich, ale również na naszych.

Najwięcej zainteresowania budzi nakręcana na Sieveringu „Marja Baszkircew“. Scenarjusz oparty jest na dramatycznych dziejach młodej malarki rosyjskiej ubiegłego wieku, która przybyła do Paryża i tu nawiązuje romans z Guy de Maupassant'em. Rolę tytułową odtwarza Lily Darvas, wybitna aktorka teatralna, dotychczas nieznana z ekranu — rolę wielkiego pisarza francuskiego kreuje Hans Jaray, który ma już za sobą role Schuberta i cesarza Franciszka Józefa. Reżyserem tego filmu jest Hans Kosterlitz, twórca szeregu filmów Franciszki Gaal. Sensacją „Marji Baszkircew“ będzie udział artystki polskiej Marji Balcerkiewiczówny, której walory fotogeniczne uwydatniły się w „Młodym lesie“ i jeszcze kilku — nielicznych zresztą — filmach.

Równocześnie w atelier na Rosenhügel nakręcany jest film historyczny p. t. „Portret Pompadour“. Rolę metresy królewskiej odtwarza sprowadzona specjalnie z Berlina Käthe v. Nagy.

Te dwa filmy nie powinny wywołać złudzenia, że Wiedeń zarzucił swoją główną „specjalność“: lekką, roztańczoną komedyjkę, „wiedeńską“ właśnie. Nie, — tytuły takie, jak „Muzyka do tańca“ i „Młody pan z USA“ upewniają, że rodzaj ten jest kultywowany. W obu tych filmach gra nowa gwiazdeczka: Gusti Huber. Heinz Paul reżyseruje „Nieśmiertelne melodje“ z Marią Paudler i Leo Slezakiem. Nawet rosyjski reżyser Turżański kręci taki „walczykowy“ film w Badenie pod Wiedniem p. t. „Melodja miłości“ z Martą Eggerth i Rolfem Wanka.

Należy wreszcie wspomnieć o filmie, który jest nakręcany w Austrji, ale którego całkowity zespół reżyserski, aktorski i techniczny jest angielski. Będzie to film p. t. „Gdy bogowie kochają“, osnuty na tle życia Mozarta. Zdjęcia plenerowe są nakręcane w Salzburgu i w Wiedniu, ateliery robione będą w Londynie.

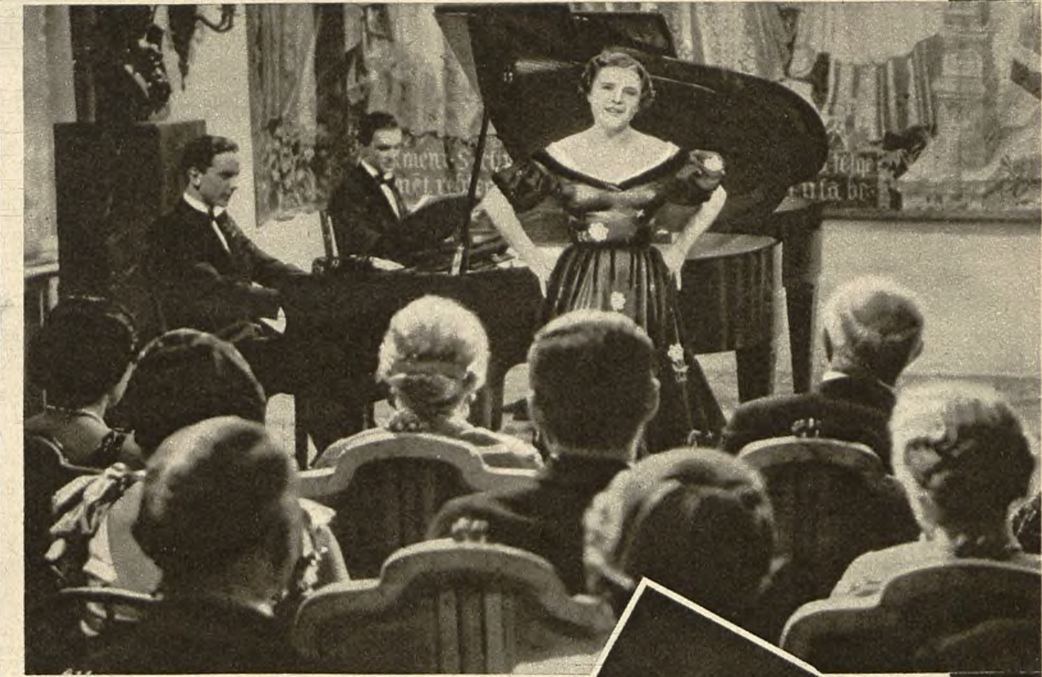
Gwoździami sezonu jesiennego będą dwa filmy, nakręcone jeszcze uprzednio: „Epizody“ i „... był tylko komedjantem...“. „Epizody“ są dziełem Waltera Reischa, autora „Maskarady“. Bohaterką jest — jak w „Maskaradzie“ — Paula Wessely. Drugi film wznawia tradycje dawnego filmu wystawowego. Pod batutą reżysera Engla powstały wspaniałe dekoracje i cała imponująca scenerja rokoka. Film posiada wyjątkowo dobrą obsadę. Rudolf Forster, partner Elżbiety Bergner odtwarza podwójną rolę: księcia i wędrownego komedjanta. Niezapomniany Faweł Wegener kreuje chytrego ministra na dworze książęcym. Piękna Krystyna Mardayn jest księżniczką, a w dalszych rolach najlepsze nazwiska filmu austrjackiego: Hilde von Stolz, Greta Haid i Hans Moser.

J. Lem.



Hans Jaray, który dotychczas z zamiłowaniem odtwarzał na filmie cesarza Franciszka Józefa, studjuje rolę Maupasanta, którą odtworzy w filmie „Marja Baszkircew“. *Fot. Keystone, Berlin.*

Marja Balcerkiewiczówna została zaangażowana do filmu wiedeńskiego p.t. „Marja Baszkircew“.



Paula Wessely, chluba austrjackiej kinematografji.
Fot, Atlantic, Berlin.



Paweł Wegener i Krystyna Mardyan bohaterzy filmu wiedeńskiego p. t. „Był tylko komedjantem“.



Leo Slezak, światowej sławy tenor jest niezawodną atrakcją wiedeńskich filmów.

SŁUŻEWO

GNIAZDO RODZINNE MARJI WODZIŃSKIEJ



Pałac w Służewie (wojew. pomorskie).

W odległości 30 km od Torunia leży Służewo, gniazdo rodzinne Marji Wodzińskiej. Tu dzieckiem bywał Szopen, tu zapewnie rozkwitło w jego młodziutkiem sercu pierwosnkowe preludjum uczuć, które potem w Dreźnie miało rozpłonąć w potężne słońce miłości. Tu przyjechał w roku 1848 Słowacki, aby ujrzeć dom rodzinny tej, która była muzą najcudniejszego polskiego poematu miłosnego „W Szwajcarji".

Wedle legend miejscowych pałac służewski był ongiś rycerskim zameczkiem obronnym i gościł w swych murach króla Jagiełłę. Zawiera on mnóstwo pamiątek, które niestety w czasie wojny zostały przez żołnierzy niemieckich wywiezione. Pozostały tylko z dawnego, wielkopańskiego urządzenia trzy zabytkowe szafy gdańskie, pamiętające czasy Szopena.

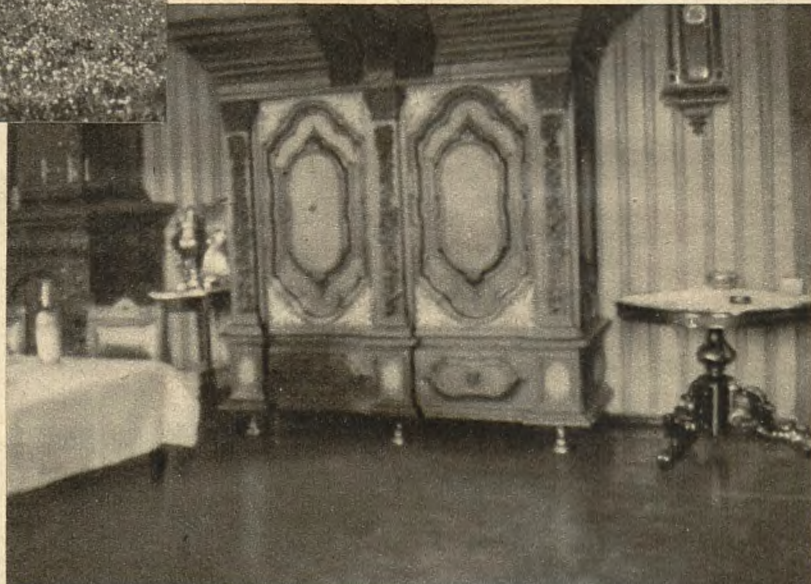


Park przy pałacu w Służewie.



Kamień w Służewie, na którym lubił siadywać Szopen.

ZDJĘCIA FOT. ZOFJA ŻELSKA-MROZOWIECKA



Szafy gdańskie w pałacu w Służewie.

W ogrodzie służewskim znajduje się kamień-ławeczka, zwany kamieniem Szopena, gdzie lubił siadywać król pieśni polskiej.

Na trawniku, na którym Szopen i Marja zbierali ongiś fjołki, rośnie osobliwe drzewo, „gdzie harfowym tłumem żyją słowiki". Zwie się ono „Sophora japonica", a ma tę właściwość, że kwitnie dwa razy do roku, w lipcu i wrześniu, raz biało, drugi raz złoto. Drzew takich jest podobno wszystkiego cztery w Europie.

Za pałacem bieleje sad, po którego ścieżkach „wiejskim otoczona dworem", chodziła Marja Wodzińska, niby zaklęta królewna.

Dziś Służewo jest własnością pp. Stanisławostwa Łyckich.

Cennym zabytkiem w Służewie jest starożytny kościółek, którego sklepienie wsparte jest na dwóch filarach. W podziemiach tego kościółka znajdują się groby dawnych właścicieli Służewa, Kostków. Anielski duch patrona Polski św. Stanisława Kostki wymodlił snać dla Marji Wodzińskiej, aby stała się natchnieniem najczystszej pieśni polskiej, zaklętej w strofy Juljusza Słowackiego i melodje Fryderyka Szopena.

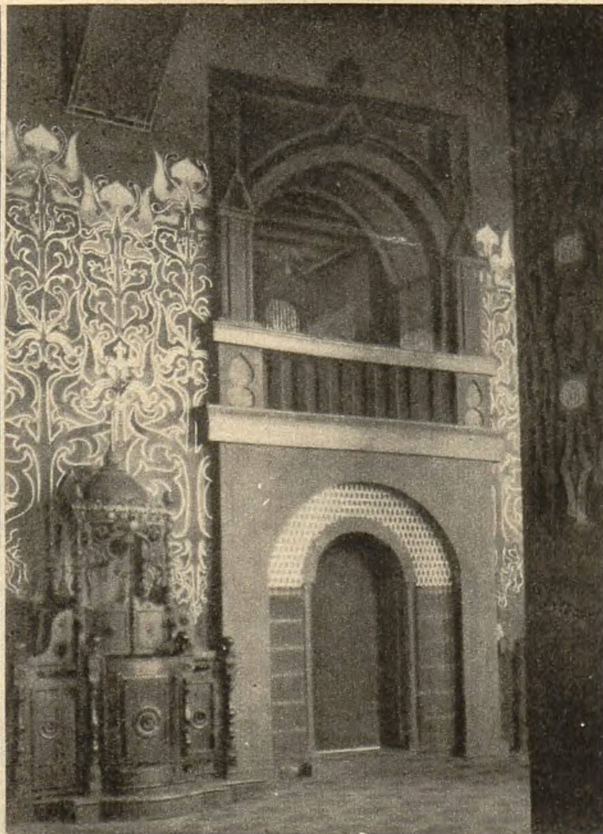
Owa Marja Wodzińska była córką Wincentego ze Służewa na Kujawach. Podczas pobytu w Genewie obudziła uczucie w Juljuszu Słowackim, kochał się w niej także Fryderyk Szopen. Poślubiła ona I-voto Józefa hr. Skarbka, a II-voto Władysława Orpiszewskiego.

Zmarła w r. 1897.

Zofja Żelska-Mrozowiecka.



Wnętrze kościoła w Służewie.



Fragment kościoła w Służewie.